

"Poezja"

1999

„ŚWIAT, ŚWIATŁO, ŚWIATŁOŚĆ”

Mieszkający w Paryżu polski poeta Krzysztof Jeżewski chyba wybaczy mi ten cytat, pochodzący z tomu jego wierszy. Gdyby znał Andrzeja Suryna, zaprzyjaźniłby się z nim i zaakceptowałby — także jako klucz do wierszy Andrzeja — te trzy słowa: Świat, Światło, Światłość.

Piotr Matywiecki: „Andrzej Suryn był jednym z Wędrowców, których gna po świecie potrzeba starej mądrości. SŁOWO było pielgrzymim kosturem Andrzeja Suryna”.

Wędrowiec — takim go zapamiętałem. Z plecakiem, karimatą, fajką, notesem, ziółkami, zapasem wiktuałów — by nie być ciężarem dla gospodarza — pojawiał się w moim mieszkaniu, wcześniej zapowiadając się listem, pięknie kaligrafowanym. Rozdawał siebie, swoje wiersze, żarty.

Adriana Szymańska: „To wyznania człowieka wiary. Akty strzeliste kogoś, kto szuka i błądzi, ale też znajduje słowa dla wyrażenia własnej miłości i nadziei, własnych przekonań i intuicji... jego mistycyzm otwierał go na świat Światła, w którym czuł się u siebie”.

Andrzej bywał gościem benedyktynów w Tyńcu i w Lubiniu, a ja ceniłem jego wiersze za to, że piękną formę łączyły z ciekawymi problemami teologicznymi. To, co było dla mnie problemem egzystencjalnym czy filozoficznym, Andrzej ubierał w prostą i piękną szatę.

Henryk Waniek: „Chciał, żeby go było mało. Jak najmniej. Takie życiowe zadanie: jak najmniej siebie... Wczoraj był, dzisiaj nie przyjdzie. Na szczęście zostawił wiersze. Niewiele ich. Musi wystarczyć”.

Andrzej żarliwie kultywował ascezę i pokorę — nieraz prowadziliśmy gorące spory na ten temat. Jego asceza i pokora były przymiotami Wędrownego Pustelnika.

Jeśli po naszym odejściu z tego świata trwamy nadal w ludzkich sercach i w ich serdecznej pamięci, to Andrzej ciepło i mocno wpisał się w wiele serc. 3–4 września w Węgajtach, siedzibie Teatru Wiejskiego, jego szef i założyciel, a serdeczny przyjaciel Andrzeja — Wacław Sobaszek — zorganizował „Zaduszki” poświę-

czone pamięci Andrzeja. Z całej Polski przyjechało około 150 osób, jego znajomych i przyjaciół.

Wieczorne ognisko z cudną muzyką — flet, skrzypczki, harmonia — które „rznąły od ucha do ucha”, tańce przy ognisku, odwieczny las dookoła i cienie drzew, nastrój jedyny. Rano spacer wśród pól — trasą spacerów Andrzeja — ze skrzypcami, fletem, harmonią, których dźwięki rozbrzmiewały w słońcu, odlatywały w dal, w piękną jesień. Wiejska chata, w której Andrzej mieszkał z przyjaciółmi, ćwicząc pustelnicstwo i układanie wierszy. Przystanek przy wielkim głazie, w lesie, blisko drogi, na którym przyjaciel Andrzeja, rzeźbiarz, odkuł wesołego ludzika, dokładnie według Andrzejewych rysunków. Msza w wiejskim kościółku, cudownie śpiewana, gdzie Andrzej był pamiętanym gościem. Wieczorem koncert Staszka Sojki, który śpiewał wiersze Andrzeja.

I żał było odjeżdżać z tych jesiennych krajobrazów, rozstawać się z przyjaciółmi starymi i nowymi.

Otwieram tomik Andrzeja i czytam wiersz dedykowany matce:

MIŁOŚĆ

miłość jest jak otwarty
skarbiec
ptaki wiją w nim gniazda
i obłoki żeglują swobodnie.

I fragment recenzji Zbigniewa Chojnowskiego z *Nowych Książek*: „Wiersze Suryna są zapiskami z podróży, spaceru, spotkania, z miejsc odwiedzanych, przemierzanych... pozostawił po sobie poezję franciszkańską (stąd zasadne jest łączenie go np. z Edwardem Stachurą), sokratejską, poezję drogi, silnie inspirowaną mądrością ewangeliczną. Niektóre wiersze opierają się na reminiscencjach przypowieści opowiedzianych przez Jezusa Chrystusa. Zasadą poety z Krzyża Wielkopolskiego jest uczynienie z religijności naturalnej wartości poetycko-duchowej, idącej w parze z wysiłkiem stworzenia nowego języka wiary... Może to zbieg okoliczności, ale jego pośmiertne dzieło, jego głos zza grobu wydaje się pozytywną odpowiedzią na niedawno ogłoszony papieski *List do artystów*”.

Na ścianie mego pokoju wisi kartka papieru z

jedynym wierszem, jaki ułożyliśmy wspólnie —
w hołdzie limerykom:

Gdzie jest mój codzienny limeryk?
Wrzasnął rozwścieczony Król Eryk
(a był to okropny choleryk)
— Właśnie go pisze poeta Chimeryk!
— rzekł grzecznie lokaj Fryderyk.

Żal, że nie będzie z kim wypalić fajki pokoju,
pociągnąć dobrego winka, pożartować i oplot-
kować przyjaciół, spoważnieć i posłuchać no-
wych wierszy, zmartwić się brakiem grzybów w
Krzyżu Wielkopolskim. Snuć planów wędró-
wek, narzekać na chroniczny brak grosza,
dawać dobrych rad zielarskich i dietetycznych.
Cieszyć się deszczem i słońcem. Polecać sobie
nawzajem lektury filozofów i ciekawe książki,
wymieniać listy, pytać, co słysząc u benedykty-
nów.

Paweł Zawadzki

KOCHANI GOMBROWICZANIE...

[Wystąpienie Juana Carlosa Gómeza 22 lipca
1999 w Agencia Española de Cooperación
Internacional w Buenos Aires po pokazie filmu
Alberta Fischermana *Gombrowicz o la Seducción*
z okazji prezentacji książki *Cartas a un Amigo
Argentino* (listy W. Gombrowicza do J.C.
Gómeza).]

Kochani gombrowiczanie: stanowią ostatnią
przeszkodę na drodze do bufetu, a zatem —
uwaga!

Zastanawiałem się, co łączy film Fischer-
mana z książką, którą prezentuję dziś, choć tak
naprawdę powstała dawno temu, i przypomniał
mi się list Gombrowicza z Francji, w którym —
już okryty sławą — pisał: „Nie zapominajcie o
mnie, pamiętajcie, że ja nigdy o was nie zapo-
minam”. Zdanie to, choć wydaje się rzucone na
wiatr, nie było skierowane do całego świata. Te
słowa Witold dedykował pewnej pani, Deolin-
dzie de Mauro, która wynajmowała mu pokój,
ilekroć przyjeżdżał do Tandilu leczyć astmę.
Biedaczka darzyła go wielką tkliwością, on zaś
bez wątpienia nie pozostawał jej dłużny, tyle że

— jak we *Wstępie* [do *Ferdydurke*] pisze Ernesto
Sábato — jakaś kosmiczna siła odebrała mu
zdolność okazywania uczuć. Nadszedł rok 1957.
Podczas pobytu w Tandilu Gombrowicz otrzy-
mał od Julliarda kontrakt na wydanie *Ferdy-
durke*. Otworzyły się przed nim wrota do sławy,
na wieść o czym Deolinda wyprawiła uroczy-
stość: zastąpiła stary, mały stół okazałym biur-
kiem, żeby rozłożyć na nim papiery, uwieńczyła
laurem skroni Witolda, i tak to, w asyście Deo-
lindy i Mariana [Betelú], pokaszując znacząco,
jak tego wymagała chwila, Gombrowicz podpi-
sał swe przymierze z Francją. Słowa listu, który
zachowała w pamięci skromna i zacna pani Deo-
linda, odnosiły się z pewnością do wszystkich
nas, Argentyńczyków, do całej Argentyny.
I właśnie w tamtej, pełnej melancholii i bra-
terstwa prośbie odnalazłem nić łączącą moją
książkę z filmem Fischermana.

Gombrowicz, niczym wielki reżyser, coraz to
przywołuje któregoś z argentyńskich przyjaciół,
nie dając o sobie zapomnieć. W szesnaste lat
po śmierci, w 1985, nawiedził Rabanala, któ-
remu powierzył napisanie scenariusza, potem
wybrał czterech spośród swych uczniów i pop-
rosił Fischermana, by nakręcił film, w którym
mieliśmy wskrzesić jego ducha, pod groźbą, że
jeśli tym sposobem nie zwiążemy go na zawsze
z Argentyną, to inni ukradną nam Gombrowi-
cza. Jak państwo widzieli, akcja filmu rozgrywa
się w ciągu jednej zaledwie nocy, w kawiarni i w
mieszkanie, gdzie Witold spędził osiemnaście
ostatnich lat życia [w Argentynie], my jednak
spotykaliśmy się aż przez trzy długie miesiące,
żeby rozmawiać o Gombrowiczu w atmosferze
ciągłych sporów i pojednań, skrajności i uni-
sien, tak że gdyby nie rozważa i wyrozumiałość
Fischermana, całe przedsięwzięcie zakończy-
łoby się fiaskiem. Eksperymentalna struktura
filmu jest rzeczywiście mistrzowska. Nie bez
powodu uznany został przez przyjaciół i znajo-
mych reżysera za jego największe dokonanie,
sam zaś Alberto wyraża się o nim jako o swym
ukochanym dziecku. Jego koncepcja, nacecho-
wana liryzmem i muzyką, to sposób, by wywo-
łać ducha wielkiego geniusza i prowokatora i
ujawnić silny wpływ, jaki wywarł na losy swych
czterech uczniów. Film Fischermana nie jest
dokumentalny, choć wyrasta wprost z rzeczy-
wistości, na wyraźne polecenie reżysera nie zos-
tał też udostępniony masowemu odbiorcy.